№ 3.

Warszawa dnia $\frac{8}{20}$ Stycznia R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

IBRAHIM I ROKSOLANA

OBRAZEK HISTORYCZNY Z CZASÓW SUŁTANA SOLIMANA.

(Dokończenie).

Tym kwiatkiem czarodziejskim cudownego wdzięku, mającym urodą zaciemniać samo nawet słońce, a oczy ludzkie olśniewać niewidzianym dotąd blaskiem, była siostra Ibrahima, która po pierwszem zaraz spojrzeniu potężnego władcy, przemieniła go w uległego niewolnika, gnąc jak woskiem wedle swoich przywidzeń i kaprysów. Wyniesiona do godności żony sułtana, zajęła wkrótce stanowisko odpowiednie swemu znaczeniu, z czego najwięcéj skorzystał sam Ibrahim, tak dalece że faworyzowany zarówno przez Sułtana jak i siostrę, mianowany został wielkim wezyrem, późniéj bejlerbejem Rumelii, a w końcu Seraskierem czyli generalisymusem z płacą siedemdziesięciu tysięcy dukatów, jaki to urząd wyłącznie dla niego został utworzony. Stosunek przytem Sułtana ze swym faworytem, z dniem każdym coraz się stawał ściślejszym, był to już nie pan i niewolnik, nie władca i poddany, ale brat i przyjaciel, najwierniejszy towarzysz, który umiejąc pocieszać i radzić, umiał łajać, fukać i czasami nawet dąsać się i grymasić.

Ale stałość doli ludzkiéj, to jak jesienna pogoda, co pędząc chmur tumany, czasem promieniami słonecznemi pozłaca ziemię, albo odziewa ją straszną ciemnicą, nie oświetloną nawet choćby jedną gwiazdką. Ibrahim przeszedł wszystkie jéj stopnie, z niewolnika podniesiony do najwyższego zaraz pierwszego po sułtanie znaczenia, obsypany złotem, władzą i dostojnościami, urosł w niezmierną pychę i ta go zgubiła. Chełpiąc się że całe państwo trzyma w swem ręku, że od jego woli zależy wszystko, wojna lub pokój, zgoda lub straszna nieprzyjaźń, z posłami europejskiemi obchodził się hardo i z lekceważeniem, a sam przybrał na sposób perski nowy tytuł, sułtana seraskiera.

Około tego czasu, na targowisko zwane w Konstantynopolu kobiece, Awretbazar, przygnano mnóstwo niewolnic pochwytanych w okolicznych ziemiach, aby je sprzedać więcéj dającym jak pociągowe bydło. Podzielone na małe grona, nieszczęśliwe ofiary barbaryzyństwa, stały w milczeniu wstyd swój i łzy otulając w podarte szmaty, jeszcze do domowéj należące odzieży. Wszystkie po największéj części młode, miały pomiędzy sobą i urodziwe, z czarnemi jak węgiel oczyma, od których blasku najtwardsze i najhardziejsze serce, musiałoby zmięknąć, jak szyna żelazna w rozpalonem trzymana ognisku. Tłum przechadzał się pomiędzy tym żywym towarem, kupcy zachwalali, a biedne niewolnice łamały ręce, przewidując los swój smutny i zarazem nieuchronny. W jednéj grupie na boku oparta o ścianę, stała bardzo młodziutka dziewica jak pierwszy pierwiosnek wybiegły z pod murawy. Z załamanemi rękami, ze smutnie zwieszoną głową, patrzyła w ziemię jakby w niéj szukała dla siebie ochrony; czasami tylko odgarniała gęste sploty złotopłowych włosów, zasłaniające jéj oczy łzawiące się boleścią i tęsknotą. Wyniosła, postawa zgrabna, wiotka w kibici, nietyle urodna ile miła i pociągająca, pomiędzy innemi zwróciła na siebie uwagę przechodzącego przypadkiem Seraiagassi, marszałka pałacu cesarskiego, i ten po krótkim targu kupił ją i zaraz pomieścił w haremie sułtańskim. Padiszach nie zaraz zwrócił uwagę na nową niewolnicę, i dzieląc zarówno pomiędzy wszystkie dowody swojéj łaski, może nawet niepomyślał, że w téj młodziuchnéj dzieweczce mieści się przyszła pani nietylko jego samego, ale niemal całego państwa.

Była to tak zwana w dziejach tureckich sławna Roksolana, późniéj przezwana sułtanką Khasseki Khurrem, któréj choć właściwe nazwisko nie jest

znane, chociaż Neger w swych rocznikach, a za nim inni pisarze, przedstawiają ją gwałtem jako Włoszkę, jednak rzeczą jest pewną, że była rodem Słowianka. Nie prędko jednak przyszła do téj władzy i znaczenia, jakie zdobyła później, ale gdy doszła do nich już ich z rąk swych nie wypuściła do saméj śmierci.

Ibrahim zobaczywszy nową gwiazdę rozpalającą się przy boku sułtańskim, przewidując złe z tego dla siebie następstwa, powziął tajemną niechęć ku Roksolanie i rozpoczął z nią skrytą walkę o pierwszeństwo w łaskach samowładnego pana. Ale bój nadzwyczaj był nierówny; piękne oczy to broń straszniejsza jak działa i obosieczne miecze, zobaczywszy więc Ibrahim, że czas zamiast ułatwiać zwycięztwo jeszcze je bardziéj utrudza, sprzymierzył się ze starszemi synami Solimana Mustafa i Bajazetem, podejrzywających Roksolanę o chęć usunięcia ich od tronu na korzyść syna jéj Selima. Odtąd stawszy się pewnym nieprzyjacielem Roksolany, ściągnął na siebie największą jéj nienawiść i równocześnie nieufność samego Sułtana, do czego dał powód zbyt wygórowaną pychą. Skutki z tego wprędce spadały na nierozważnego Ibrahima, jednéj bowiew nocy śpiąc w pałacu jak to było jego obowiązkiem, został uduszony z wielkiem przerażeniem swoich stronników. O ile tu była działającą Roksolana, historja tego niewyjaśnia, zdaje się tylko że pewnego wpływu odmówić jéj nie podobna.

Po usunięciu tak ważnéj przeszkody zajęta głównie myślą zabezpieczenia tronu dla syna swego Selima, postanowiła przedewszystkiem zięcia Rustema, mającego za żonę córkę jéj Kamerję to jest podobną do księżyca, przybliżyć do Solimana i zrobić go jego ulubieńcem. Był to wojownik równie waleczny jak uczony a przytem cały oddany na usługi swéj świekry, właśnie taki jakiego pragnęła Roksolana. W tym więc celu, zniewoliła Sułtana, że na wyprawę przeciw Szachowi Tamasbowi, najeżdżającemu Kurdystan i okolice Erzerum, Rustemowi powierzył główne dowództwo, mając nadzieję, że ten odznaczy się i zajaśnieje w całéj pełni swych talentów. Zaledwie Rustem rozłożył wojsko na zimowe leże w Karmanji, przysłał natychmiast doniesienie, o wykryciu spisku mającego na celu strącenie Solimana z tronu, a osadzenie na nim Mustafy starszego jego syna. Plan był za nadto zręcznie zrobiony, aby się nie miał powieść, Soliman więc zapalił się strasznym gniewem i wydał wyrok śmierci na Mustafę. Wówczas brat drugi jego Bajazet, przewidując równą zgubę, i korzystając z dobrego usposobienia wojska wystąpił otwarcie przeciw ojcu i Selimowi synowi Roksolany. Pokonany w boju schronił się do Szach Tamusba przyjęty przez niego z największą gościnnością. Ale i tam dosięgła go nienawiść nieprzyjaznego stronnictwa, którą podniecony Szach-Tamasba, kazał go uwięzić, a potem udusić razem z czterema synami, za co otrzymał w podarunku czterysta tysięcy dukatów. Selim tym sposobem został jedynym spadkobiercą ojca, życzenia zatem Roksolany spełniły się. Pomimo tych intryg Roksolany, trzęsącéj haremem i pałacem zdobiła ją szczodrobliwość z hojnych darów Sułtana na pobożne zakłady i wsparcie cierpiącéj ludzkości. Ona to na targowicy kobiecéj w Konstantynopolu Awretbazar w miejscu gdzie kupioną została w pośród łez i boleści, wystawiła Moszeę z kopułą i minaretem, szkołę dla młodzieży, kuchnię dla ubogich i dom przytułku dla osób z pomięszanemi zmysłami. Opływając w dostatkach i we wszelkiéj pomyślności, zatrzymała zawsze pamięć swego pochodzenia, o ile mogąc chroniąc rodzinne swe strony od napaści tatarów. Historja zatrzymała mnóstwo podobnych szczegółów, a dzieje państwa tureckiego z największą czcią o niéj wspominają.

Umarła w r. 1558 w tym samym czasie kiedy zakończyły żywot swój Izabela żona Jana Zapolji siostra Zygmunta Augusta i Marja królowa Angielska, przepędziwszy jako żona Solimana jedną zawsze miłością kochana, lat około trzydziestu czterech. Soliman stratę jéj przyjął z niewymownym smutkiem, a oceniając przymioty, kazał pochować pod osobnym nagrobkiem na dziedzińcu wspaniałéj Moszei, carogrodzkiéj Sulejmanją zwanéj. Popiersie Roksolany, o któréj powiedział Twardowski:

> ..... jéj z ludzkiéj pamięci, lata złe nie zatrą,
> Godna z Fedrą i rzymską zrównać Kleopatrą.

znajduje się w stroju tureckim w zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie, darowane przez p. Sta. Wronowskiego. Ma to być kopja obrazu wywiezionego z Carogrodu przez sławnego posła niemieckiego Gizlena Busbeka w r. 1553. Drugi starodawny wizerunek Roksolany posiada cesarski zbiór osobliwości w zamku Ambras do Wiednia przeniesiony. Była to więc kobieta niepospolitych zdolności, objęcia jednak władzy przez syna swego Selima niedoczekała.

STAROŻYTNE RZYMIANKI.

Alfred Maury znany profesor Historji, na jednéj z popularnych prelekcji w Sorbonie, porównywał społeczeństwo Rzymskie za Cezarów, ze społeczeństwem Francuzkiem w ostatnich wiekach. W tym zajmującym wykładzie, profesor określił stan umysłowy starożytnych Rzymianek, i w żywotny sposób dał poznać stanowisko, jakie zajmowały w rodzinie. Sądzimy że te ciekawe szczegóły zajmą uwagę czytelniczek naszych, podajemy je zatem w przekładzie.

Kobiety powołane były za Cezarów, do korzystania dobrodziejstwa wyższéj edukacji. Stanowisko ich znakomicie podniosło się w tych czasach, a rzecz godna uwagi, stanowisko kobiet daje nam najlepszą miarę stopnia cywilizacji, w każdéj epoce dziejowéj. Satyrycy ówcześni, miotali ostre pociski przeciw kobietom, ztąd wnoszono poźniéj, że musiały prowadzić życie lekkomyślne i rozproszone. Nie przeczemy wcale że Martjal i Juwenalis, brali zapewne wzory swoje z rzeczywistości, lecz w szyderczych ich epigrammatach panowała niesłychana przesada.

Nie ulega wątpliwości, że kobiety za Cezarów, dalekie już były, od owéj prostoty tradycyjnéj, jaka cechowała obyczaje pierwotnych Rzymianek. Jakkol-

wiek jednak, rozszerzył się zakres ich działania, owszem kobiety, nie zaparły się bynajmniéj obowiązków domowych, których pełnienie stanowiło najwyższą chwałę ich prababek. Liczne świadectwa okazują, że za czasu Cezarów nie brakło w Rzymie wzorowych gospodyń, że wiele z nich pędziło czas przy kołowrotku i przy tkackich krosnach. Jeżeli jak widziemy z pozostałych zapisków domowych, istnieli już farbiarze i krawcy, nie ma jednak wątpliwości, że Rzymianki nie znały jeszcze modniarek; suknie dla całéj rodziny, zazwyczaj robione były w domu, przędzenie i tkanie wchodziło w zakres umiejętności kobiecych. Suetonjusz mówi, że córka i wnuczki Augusta Cezara przędły i tkały wełnę; cesarz ten nosił zazwyczaj szaty, wykonane ręką żony lub siostry swojéj. Bogate panie wzywały do pomocy służebne dziewczęta. Słowem za czasów Cesarstwa Rzymskiego, zatrudnienia Rzymianek odpowiadały zajęciom babek naszych; wydawały rozkazy sługom, chowały klucze od skrzynek, dysponowały obiad. Obok zabiegów gospodarskich, umysł ich nie pozostawał jednak bez uprawy, a postęp w tym względzie odnieść można do początków Cesarstwa. Tak dziewczęta jak chłopcy uczęszczały pilnie do szkoły. Martialis w jednym epigramacie, mówi o dyrektorze szkoły którego oblicze zwykle ponure, nie rozjaśniało się nigdy w obec uczniów i uczennic. Rzymianie bowiem trzymali się ściśle metody, przyjętéj wszędzie przed pięćdziesięciu laty; nieżałowali klapsów i dyscypliny. Quintiljan uważał że te kary cielesne upokorzały raczéj uczniów, a nie budziły w nich zamiłowania do pracy; radził też aby nagrodą podniecać ich gorliwość. Horacy tegoż samego był zdania. Względem dziewcząt, przepisy mniéj były surowe, uczono je na pamięć ustępów z najpierwszych pisarzy, a szczególniéj z poetów.

Niekiedy matka, jeśli była sama wyżéj ukształcona, zajmowała się nauczaniem córek; odczytywała im Homera i Wirgillego. Czasami też sam ojciec spełniał to zadanie. Sam August Cezar uczył wnuczki swoje pisania, gramatyki i ortografji. W niektórych zamożnych domach, pedagog czyli nauczyciel, dawał lekcje tak chłopcom jak i dziewczętom.

Młoda panienka zatem, przynajmniéj w wyższych warstwach społecznych, przyjmowała edukację, więcéj może rozwiniętą nad wykształcenie naukowe prababek naszych. W pierwszych latach dziewczynka zostawała pod wyłączną opieką mamki. Owa mamka zwykle z niewolniczego stanu, kochała i pieściła powierzone jéj dziecię, i bawiła je opowiadaniem czarodziejskich powieści. Przy niéj młoda Rzymianka zabawiała się lalką; była to najmilsza rozrywka dziewcząt ówczesnych. Nakazywano im także bawić się w różne gry a szczególniéj w piłkę, aby przez ćwiczenie ciała, nabywały zręczności w ruchach.

Uczono potem panienkę z zamożniejszego domu, sztuk przyjemnych, a szczególniéj muzyki i tańca. Ówczesny taniec, jak dawny menuet francuzki, zależał na poruszeniach wymierzonych do taktu, na zręcznym układzie rąk i całéj kibici. Młoda panienka uczyła się także śpiewać przy towarzyszeniu na lirze. Zadaniem tego śpiewu, było raczéj budzić tkliwe uczucia, niż doskonalić głos i ucho. To też surowsze rodziny, potępiały tę modę przyjętą od Greczynek, i pozwalały córkom śpiewać tylko religijne pieśni. W uroczystych obrzędach na cześć Bogów, w dniu modlitw publicznych, chóry Rzymskich dziewcząt, z najznakomitszych rodzin występowały w obrzędowych pochodach i śpiewały hymny. Modne panie Rzymskie, rozrywały się w domu muzyką; niektóre z nich przy dźwięku lutni powtarzały ustępy z najsłynniejszych poetów.

Lubo edukacja kobiet w Rzymie, była jak widziemy staranna, nie zabierała jednak tyle czasu jak w społeczeństwie naszem. Z powodu wczesnéj dojrzałości południowych kobiet, nauka ich rozpoczynała się wcześnie. Ledwie że dziewczynka dobiegła lat dwunastu, myślano już o wydaniu jéj za mąż. Panna dwudziestoletnia uważana już była za starą. W zawiązywaniu małżeństw rodzice uważali bardzo na względy światowe, a panienka musiała przyjąć męża jakiego jéj przeznaczono. Nigdy prawie młoda osoba nie wyrokowała o własnym losie, tym bardziéj że od lat dziecinnych bywała zwykle zaręczoną. Przyjaciele domu prowadzili układy, nie pytając o zdanie stron interesowanych. Obrzęd zaręczyn odbywał się z wielką uroczystością, lecz nie zmieniał stanowiska zaręczonych — dziewczynka uczyła się w domu albo w szkole, do dwunastego roku życia, to jest do wieku w jakiem prawo pozwalalo zawrzeć ślubne związki.

Małżeńskie gody odbywały się u Rzymian z równą jak niegdyś u nas uroczystością. Rozwijano wówczas nieporównany przepych, i hojnie częstowano znajomych i przyjaciół, a każdy pragnął uchodzić za bogatszego, niż był nim rzeczywiście. Ubranie panny młodéj stanowiło ważny przedmiot zajęcia; kładziono jéj na głowę długi welon, przysłaniający ramiona i kibić, kolor welonu był purpurowy. Piękny to był w życiu młodéj dzieweczki dzień, w którym szła do ołtarza i poglądała na spełnienie ofiary na cześć bożka Hymenu. W pierwszym wieku ery naszéj, już były przeminęły czasy kiedy uważano kobietę za niewolnicę i własność męża, kiedy zostawała pod wyłączną jego władzą. Kobiety już się wyzwoliły; już zastrzegły własną niepodległość, już trzymały w ręku osobisty majątek. Prawo posagowe zaczęło już zobowiązywać wszystkich, a mąż znęcony wianem, poddawał się pod warunki kontraktu ślubnego. Ułożenie kontraktu tego stanowiło najważniejszą stronę uroczystości weselnéj. Przyjaciele, krewni, klienci, podpisywali go jako świadkowie. Wszystko przybierało świąteczny pozór: mieszkanie panny młodéj, równie jak dom pana młodego, oświetlone były rzęsisto, wysłane kobiercami, przystrojone w wieńce i gałązki zielone. W tym dniu, młoda małżonka, wychodziła z pod opieki ojcowskiéj; małżeństwo najczęściéj zawierane było z zastrzeżeniem, że żona pozostanie na własnem prawie (sui jures) że nie przejdzie pod wyłączną władzę męża, a gdyby nawet miała zostać jeszcze pod opieką ojca, to pozornie tylko tym sposobem stawała się panią domu, nie będąc niewolnicą męża swego.

Bez żalu też młoda Rzymianka, żegnała lalki i cacka, i składała je na ofiarę w świątyni Wenery. Potem wchodziła tryumfalnie w dom małżonka. W dawnych czasach prowadzono ją do domu, w chwili gdy gwiazda wieczorna ukazała się na niebie, później za czasu Cezarów, odbywano pochód z pochodniami, przy dźwięku lutni i pieśni weselnych. Resztę zakończała uroczystość weselna. U stołu sadzano państwa młodych obok siebie. Tak wielka panowała

obfitość na téj uczcie, że wiele rodzin mniéj zamożnych, dla oszczędzenia wydatku, odbywało gody weselne na wsi.

Niektórzy historycy, wiele mówią złego o Rzymiankach z czasów cesarstwa; przypominają nam ich rozrzutność, ich lekkomyślne postępowanie. Jednak, lubo kobiety rzymskie, przestały żyć zamknięte w domu jak to bywało niegdyś, jeżeli dostatki były dla wielu z nich powodem próżnowania i zbytków, obok tych lekkomyślnych kobiet, były dobre gospodynie, uczciwe żony i troskliwe matki. Poszanowanie kobiety istniało jeszcze w pełnéj sile, znać że kobieta godną była szacunku. Rzymianie w rzeczy saméj przypominają w tym względzie rycerską grzeczność Francuzką. Nigdy Rzymianin nie byłby sobie pozwolił w obec kobiety nieprzyzwoitego słowa; na ulicy ustępował jéj kroku. To poszanowanie do takiego dochodziło stopnia, że na mocy prawa starożytnego, nie można było przymusić mężczyzny, aby zsiadł z wozu, jeżeli siedział obok kobiety. Wiele rysów z epoki cesarstwa świadczy wymownie, o wpływie żon nad mężami o prawdziwem ich przywiązaniu i niezłomnéj wierności.

Że wiele było kobiet lekkomyślnych i zepsutych, nie ulega żadnéj wątpliwości. Rzym był ogromnem miastem. Wiele mówiono o zepsuciu obyczajów za cesarstwa, gdyż widziano kobiety mięszające się do intryg dworskich, występujące na ucztach, oddane próżności światowéj i strojom, zamiłowane w pieskach i ptaszkach, zajęte grą w domino i w kości, rzucające dla haftu, starożytne wrzeciono Sabinek, słowem trawiące czas, na czytaniu miłosnych poezji i na próżnych rozmowach. Czyż się to samo nie powtórzyło przed dwoma wiekami we Francji? Nie sądzimy jednak żeby zepsucie ogarnęło wszystkie kobiety; w samymże pałacu Nerona, znajdujemy przecież cnotliwą Oktawję, i służebne jéj pełne bohaterskiego poświęcenia. Obyczaje się zepsuły, lecz głos opinji, chłostał zepsucie, a oddawał cześć zasłudze i poświęceniu.

Pogadanka Tygodniowa

Mieliśmy tu przez kilka dni tak piękne pogody, i pomimo przymrozków tak słoneczne, ciepłe i miłe, że gdyby nie mała gruda miejscami, nie śnieżne okrycie trawników, bezlistne drzewa i smutne krakanie całego wroniego zastępu, możnaby sądzić, że wiosna wstąpiła na ziemię w całym majestacie uroczych powabów i za chwilę uśmiechnie się kwiatkiem i zieloną trawką. Mimo tego ułudnego pozoru, na Wiśle i stawach Łazienkowskiego parku pobłyskujących taflami jak kryształ przezroczystego lądu, setki zwanych łyżwiarzy, uwijało się w różnych kierunkach, zataczając gzygzaki, koła i elipsy, z tą zwinną, zgrabną lekkością, nieodłączną cechą wszystkich gimnastycznych ćwiczeń z pewną wprawą dokonywanych.

Pogląd na tę ruchliwą, rojną jak mrówki łyżwową ludność, to pędzącą jak wiatr, karambulującą się, zawadzającą się wzajemnie, to czasem koziołkującą lub w nagłych śmiesznych poruszeniach szukającą zgubionéj równowagi, dawał obraz tak pełen życia i powabu, że trudno było oczy od niego oderwać, a rozstać się z nim jeszcze trudniéj. Pomiędzy łyżwującemi, przesuwały się i krzesła urządzone na saniach popychane silną męzką ręką, a nawet dwie panienek widocznie do bardzo zamożnéj klasy należące, ślizgały na łyżwach choć jeszcze nie bardzo wprawnie, ale dając już dowody zwinności i niezwykłéj odwagi. Za granicą zabawka ta między kobietami jest bardzo upowszechnioną, u nas przedstawia się jako niezwykłość zwracająca z podziwem wszystkich na siebie oczy. Co do mnie Janka z Bielca, kiedym widział kobiety grające w palanta i silnem uderzeniem kija odbijające piłkę wysoko, pomyślałem sobie, jaka szkoda że zabawka ta u nas zupełnie nie jest znaną.

Kiedym przeczytał w Gazetach, że jakaś królewna dzikich plemion Australji, w dzień swego wesela przepłynęła tam i napowrót odnogę morską, aż mną zazdrość wstrząsnęła, że tak dzielnéj pływaczki nie mogę nazwać swoją rodaczką. Kiedym wreszcie przyglądał się łyżwującym panienkom szepnąłem mimowolnie obietnicę wielkiéj nagrody za upowszechnienie u nas, téj zdrowéj a tak przyjemnéj zabawki, która nie wiem dla czego wyłącznie przez mężczyzn jest tylko praktykowaną.

Nie ma wątpliwości, że kobieta w pośród bachusowych pieśni i wyziewów Lakussowéj uczty, przybierająca mową i czynem obyczaj męzki, wypróżniająca; kieliszki ze zwinnością młodych lampartów, a szafująca złotem przy karcianym stoliku jak gracz najzapaleńszy, jest niezmiernie wstrętna i odpychająca; ale sprawy podobne i u mężczyzn na miano wielkich czynów nie zasługują. Wszakże i między nami mamy doskonałych gimnastyków, żwawych palancistów, dzielnych pływaków, a jednak skromnych życiem i nieubliżających niczem męzkiéj swéj godności. Dla czegóżby więc i kobiety, poświęcające się podobnym zabawom, a tak korzystnie wpływającym na rozwój fi-

zycznéj ich budowy, nie umiały podobnie się zachować i to w granicach dla nich odpowiednich? Czyż te wiotkie istoty, wdziękiem podobne do kwiatków ale jak kwiatki wątłe i delikatne, wychowujące się niby egzotyczne roślinki w cieplarniach, które my nazywamy uroczemi panienkami, tak wypieszczeniem; spaczonem wychowaniem co do swego przyszłego przeznaczenia, miały nas do tyla pociągać, żebyśmy aż starania o właściwe rozwinięcie ich budowy, uważali za zbyteczne a nawet szkodliwe? Drzewo słabe zdrowego i pięknego nie wyda owocu; krzak róży chorowity wątłym okryje się kwiatem, powstawajmy więc na nadużycie, na przesadę we wszystkiem, nawet w zajęciach choćby najszlachetniejszych, ale zachęcajmy do umiarkowania szczególniéj w tem, co zdrowie ma na celu nie tylko obecnych, ale i przyszłych pokoleń.

Pomijając dalsze dowodzenia za gimnastyką jako zbyteczne i zupełnie wyczerpane, przejdę do dwóch korrespondencji jakiemi w tych dniach łaskawie obdarzony zostałem. W pierwszéj pani Dy..... tak kończy swoje pismo.... W zakończeniu składam Wam najuprzejmiejsze podziękowanie, za poparcie uwag moich w jednym z letnich numerów, o niewłaściwéj próżności kobiet i panienek drobnéj służbowéj szlachty. Powtarzanie takie artykułów wrażenie zrobiłyby trwalsze i skuteczniejsze, gdyby mogły skłonić jeszcze te damy do nabycia praktycznego sprytu i uprzejmości we wszystkiem tem, co w codziennem życiu uprzyjemnia stosunki między wyższą a niższą klasą, między panią i służebną. Patrzcie zaś jak niezgrabne i bez najmniejszego wykształcenia, ale w okrągłym kapeluszu, z przyprawnym szynionem kark przygniatającym i okolistą krynoliną, domagają się wielkiéj płacy i wielkich względów i większych jeszcze dogodności, litość wzgarda i gniew bierze zarazem".

Skarga to bardzo słuszna i uzasadniona, ale jéj nie zaradzi pióro choćby najzdolniejsze, a złego niewyruguje najdowcipniejsza nawet satyra. Jednym gruntownym i skutecznym tu działaczem, może być tylko oświata, jako matka prawdy i wszystkiego dobra na świecie. Próżność, jéj skutki i wybryki, to temat obrobiony w tysiącznych dowcipach, karykaturach, wyszydzany w powieściach, w teatrze, a mimo tego niewyczerpany dotąd i coraz nowszemi zasilany żywiołami. Wada ta jest nieodłączną od natury ludzkiéj, wolnym jest od niéj tylko prawdziwie wykształcony umysł. Starać się o jéj usunięcie obowiązkiem każdego, szczególniéj tych co jak światełka pobłyskują w ciemnicach ludzkości. Dobry przykład, skuteczniejszym tu będzie jak najmędrsze słowo.

W drugiéj korrespondencji stary ex-bocian Wolnych Żartów p. Faustyn Świderski, powiada ze zwykłym sobie humorem:

...Znajomi twoi wnaszéj okolicy, zdrowi piją wodę a wimieniny piwo. Trzymają się ostro, chociażlejcowego i swaszlowego wyprzęgli i tylko siodłowym i naręcznym uwijają. Furmani przez to, poskracali baty o jakie kilka łokci, i dlatego niestrzelają z nich. Biczyska używane są z prostego jałowcu a galonów i guzików przy czapkach i surdutach, po większéj części czuć się daje brak powszechny. Firmament finansowy stoi niżéj zera. Panie także zmieniły dawny konieczny zwyczaj koczowych wystąpień, zdeklarowanego konkurenta, bo chociaż podług artykułu prawa ś. p. Augusta Wilkońskiegp które opiewa, że każda panna na prowincji, w każdym powiecie idąca za mąż, powinna mieć *kocz*, chociażby ten dla braku wozowni miał stać na klepisku w stodole, jednakże już kilka małżeństw bez tego się obeszło i brak tego wiktuału zupełnie do domowego szczęścia i poczciwego wychowania dzieci nie przeszkadza."

Targnięcie się p, Świderskiego na ustaloną powagę kocza, dowodzi wielkiéj odwagi jakiéj mu szczerze zazdroszczę.

Dla naszych bowiem pań po większéj części domowem wychowaniem przywykłych do wygody, wydelikaconych strarannem chronieniem od każdego ostrzejszego wiatru, od słońca, chłodu, mgły, rosy, wilgoci; przestrzeganych pilnie od dziecka niemal, aby nóżek nie forsowały zbytecznem bieganiem; rączek nie męczyły żwawszemi poruszeniami; paluszkom niepsuły kształtów ujmowaniem przedmiotów pogrubiających na nich skórę, kocz staje się prawie niezbędnym. Dla pływaka, gimnastyka, dobrego łyżwiarza i zgrabnego palancisty, jest wprawdzie obojętną rzeczą koczowa, bryczkowa a nawet i piesza peregrynacja, ale dla kwiatków wypieszczonych, odzianych delikatnym puszkiem młodości i wdzięku, prawa inne służą. Wprawdzie zadosyć im uczynienie, czasami rujnuje ludzi raz na całe życie; czasami wprowadza w lichwę z jakiéj grzebiąc się, kuląc, narzekając i gryząc nigdy się wygrzebać nie można; ale taki obyczaj, a człowiek nie Herkules żeby miał walczyć przeciw niemu. Jak cię widzą tak cię piszą, stara powiada przypowieść, kocz więc naprzód, a potem obrachunek, bo jakoś to wszystko być musi i basta!

W zakończeniu listu p. Świderski następujący pomieścił wierszyk:

Święta miłości najdroższego złota!
Czują cię tylko poczciwe umysły,
Dla ciebie niczem poczciwość i cnota,
Dla ciebie niczem stracić zdrowie zmysły.
Byle cię tylko złapać, byle dostać,
Nie żal się potknąć, nie żal... osłem zostać.
Ale czasami zda się i golizna,
Jeżeli człeka od złego zasłania,
Bo każdy pono bez wachania przyzna,
Że nas prowadzi do upamiętania.
A chociaż puste worki i kieszenie,
Lecz lepsze serce i lepsze sumienie,

KRONIKA LITERACKA.

„*Pokój Wam!*" Książka do nabożeństwa przez autorkę dzieł p. t. Głos duszy — Źródło żywota— Wspomożenie wiernych — Miesiąc Marzec i tłumaczkę Rekolekcji Ś. Ignacego i O. Ravignan. Może po raz pierwszy wydawnictwo podobne, pokazuje się w kronice literackiéj poświęconéj krytycznemu przeglądowi wychodzących publikacji. Dotąd nieulegały one żadnemu rozbiorowi, krytyka zachowywała głębokie milczenie i tylko zręczność sprzedających, nadawała mniejszy lub większy im rozgłos. Powody do tego były różne i dosyć zasadne, ale pomału wyłączanie to należy porzucić. Żadna bowiem książka

nie działa tak bezpośrednio na moralną stronę człowieka, jak książka do nabożeństwa, i żadnéj nie rozchodzi się tyle egzemplarzy co różnych modlitewników. Modlitwa bowiem to jak chleb powszedni naszego żywota, i nie ma prawie człowieka, któryby choć wzniesieniem myśli, westchnieniem pobożnem nie ukorzył się przed Panem stworzonego świata.

Nie wdając się w rozbiór jednéj z zasad filozoficznych co do potrzeby i znaczenia modlitwy, zdaje nam się że modlitwa obok prośby, powinna roztrząsać serce człowieka, wnikać w jego usposobienie, wyjaśniać namiętności i obudzać wiarę w mądrość, miłość i miłosierdzie Boże. Wszystkie dawniejsze książki do nabożeństwa, prawie powszechnie tylko prośbę miały na celu, rozbiór zaś sumienia zostawiany bywał przygotowaniu do spowiedzi, zwykle bardzo słabo rozwiniętemu. Nowsze dopiero wydawnictwa więcéj zwróciły modlitwę, do nadania jéj znaczenia wyżéj określonego. Książka *Pokój Wam*, należy do takich, a napisana pięknym stylem składa się z pięciu części obejmujących ćwiczenia: 1. dla cierpiących moralnie — 2. dla zbolałych na duszy — 3. dla chorych— 4. za konających — 5. za zmarłych. Wydana nakładem księgarni Celsa Lewickiego, ma papier piękny, druk wyraźny, i kartkę tytułową bardzo ozdobną, u spodu któréj w małym obrazku przedstawiony jest Chrystus w towarzystwie dwóch Apostołów, błogosławiący niewiastę, klęczącą u stóp Jego z podpisem: „*ufaj córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła.*“

Egzemplarz zbroszurowany kosztuje rs. 3— oprawny w szagryn ze złoconemi brzegami i z wyciskiem cyfr wskazanych rs. 4. Takiż sam z klamerką i ozdobami stalowemi rs. 5. Przesyłka franko.

Nakładem Dyrekcji Dziennika Warszawskiego, wyszła powieść w dwóch tomach J. A. Miniszewskiego, p. t. *Ciernie kwitnące* z drzeworytami. Dostać jéj można w kantorze Dyrekcji przy ulicy Miodowéj pod N. 487, i we wszystkich znaczniejszych księgarniach. Cena rs. 1 kop. 25.

O UBIORACH

Mody tegoroczne pod wielu względami mało się różnią od zeszłorocznych, na okrywki używane są zawsze krótkie paletociki na pół przystające do figury z rozmaitego rodzaju wyrobów, zacząwszy od aksamitu do flaneli i prostego sukienka. Przybierają je tak jak i dawniéj pasmanterją lub grubym sznurem. Długość i szerokość sukien także jednakowa; forma krynolin jedna i ta sama, wązka w górze rozszerzona u dołu. Staniki tylko u sukien robią różnym krojem z długą baskiną, z fraczkiem, z podwójnym bawetem lub do paska; rękawy zawsze wązkie ścięte do łokcia przybrane bywają naramiennikiem i mankietem. Spódniczki kolorowe używane są jak w roku zeszłym, równie jak kolorowe pończochy do wyjścia na ulicę. W wielu zatem rzeczach tyczących się ubrania nie widziemy wielkiéj różnicy, w niektórych tylko przedmiotach dają się spostrzegać małoznaczące zmiany i te przytoczemy w naszem sprawozdaniu.

W jedwabnych sukniach ta nas szczególniéj zajęła nowość, że wiele z nich nawet do gorsu, robią w formie Gabrjeli zupełnie nieodcinanych w stanie. Suknia taka z atłasu, aksamitu lub innéj ciężkiéj materji bardzo pięknie wygląda, lecz wymaga przytem aby była dobrze zrobiona, inaczéj źle się wydaje.

Przypominamy przy zdarzonéj sposobności że mało gdzie nawet w Paryżu widzieć można Gabrjele tak doskonale wykonane, jak te które wychodzą z magazynu panien Kuhnke.

Opiszemy tu kilka takich sukien które nam się widzieć zdarzyło.

Gabrjela pod szyję zielona morowa objęta była u dołu plisą z ciemniejszego cokolwiek aksamitu. Plisa ta zawracała się do przodu i przechodziła przez całą suknię i stanik zwężając się w stanie, a rozszerzając na piersiach. W miejscu gdzie plisa stykała się z suknią dany był sznurek jedwabny szmuklerski, przerabiany perełkami z lawy. Obcisłe rękawy miały odpowiednie mankiety i naramienniki. Środkiem spódnicy szły guziki zielone aksamitne.

Gabrjela *poult de soie* jasno szafirowa *bleu mexique* spięta na jedwabne guziki, pokryte gipiurą kluni, po obu stronach tychże guzików miała naszytą wstawkę kluni szeroką na pięć cali. Przybrane odpowiednio rękawy dopełniały całości.

Gabrjela z wełnianego wyrobu w supełki *knickerboocker* zakończona była u dołu grubym jedwabnym sznurem który poduiesiony w górę na zszyciu brytów tworzył wysoką na trzy ćwierci łokcia piramidę. Piramida ta kończyła się u góry przewiązanym węzłem ze spadającemi kwastami. Rękawy tak samo przybrane były na ramieniu węzłem ze sznura, z dwoma spadającemi kwastami.

U sukien na wieczór lub do teatru widziemy nowego rodzaju epolety, złożone z pukielków ze wstążki wązkiéj na dwa palce spadających na dół. Z pod tych pukielków wychodzą długie końce zakończone kwaścikami lub też poprostu wcięte w ząb. Długość końców i liczba ich bywa rozmaita według woli. Niekiedy sięgają do łokcia, niekiedy znacznie dłużéj. Widzieliśmy nawet czarne suknie przystrojone takiemi epoletami w różowym lub niebieskim kolorze.

W tych dniach oglądaliśmy także w magazynie pani Kwiatkowskiéj bardzo ładny wybór świeżo sprowadzonych modeli Paryzkich na suknie wizytowe, wieczorowe i do codziennego ubrania. Wszystkie bezwarunkowo spódnice krajane są w kliny, a objętość ich u dołu cokolwiek zmniejszona.

Suknie z ciężkich materji bywają zazwyczaj zupełnie gładkie, oszyte tylko u dołu grubym jedwabnym sznurem; do strojnych lekkich sukien dodają koronkowe wolanty lub kilka rzędów bufek marszczonych.

Suknie do częstego użycia robią z kaftanikami wpadającemi do figury, których rozliczne fasony sprowadziła pani Kwiatkowska albo z gładkiemi stanikami, z tą tylko różnicą, że najświeższe modele nie są już zapinane pod szyję, ale z małemi z przodu klapkami otwarte aż do pasa. Pod spód idzie piękna szmizetka muszlinowa lub tiulowa wygarnirowana koronką.

Do ubiorków na głowę, odznaczających się prawdziwie dobrym gustem należy stroik z aksamitu fijołkowego plisowanego w ząb nad czołem, przybrany białą koronką i ozdobami złotemi, kosztował rs. 7.

Ubiorek z czarnéj koronki z długim spadającym welonikiem na warkocz, ubrany był pąsowym aksamitem. Inny z pąsowego aksamitu, przyozdobiony białą koronką *Cluny* i lawowemi wisiorkami ze złotem.

Potrójne opaski greckie aksamitne w różnych kolorach, przystrojone perłami, złotemi lub srebrnemi gwiazdeczkami, cekinami kosztują od 1 rs. kop. 35 do 3 rs.

Przez osoby starsze siatki ciągle są noszone, pani Kwiatkowska posiada piękny wybór tak jedwabnych jak szneIowych gładkich oraz rozmaicie przystrojonych począwszy od 2 rs. do 6 rs.

Z kwiatków do najmodniejszych należą girlandki na elastyce, można je skracać lub przydłużać dowolnie, stosownie do gustu i układu włosów. Jedne składają się z samych kwiatów lub trawek, inne mięszane, ze złotem i t. d. Cena ich od 3 do 5 rs.

Śliczne girlandy aksamitne z rosą kryształową kosztują od 4 do 8 rs.

Dla panien używane są bardzo małe wianeczki z kwiatów z dwoma długiemi gałązkami; przypina się je nad czołem z boku lub koło warkocza. Gałązki mogą być spuszczone lub fantastycznie przypięte na głowie. Cena ich od rs. 4 do 5. Odznaczał się także oryginalnością i ładnym kształtem fauszonik kapeluszowy na koncert lub do teatru z białego jedwabnego tiulu w muszki, cały objęty różowym aksamitem, z wierzchu pokryty blondyną i przystrojony lawowym łańcuchem. Podpięcie składało się z blondynki i różowego kwiatu aksamitnego.

Śliczny ten model Paryzki kosztował rs. 13.

Nowości Zagraniczne.

Le Follet. Z pomiędzy najświeższych sukien do ubrania, przytaczamy dwie, wykonane w pierwszym z paryzkich magazynów.

Jedna suknia atłasowa w kolorze mahoniowym, powłóczysta w tyle, zrobiona była formą kolistą, nie odcinaną w stanie. Całą ozdobę stanowił gruby sznur naszyty u dołu i tworzący węzły na ramionach. Przód spinał się na wielkie szmuklerskie guziki.

Druga suknia morowa zielona, przerabiana w rzucik z małych białych lilji, naszyta była u dołu wstawką kluni. Stanik osobny z długą baskiną, naszyty był odpowiednio, równie jak epolety i mankiety u rękawów. Pasek przepasany przez baskinę, powleczony był równie wstawką kluni.

Suknie sukienne do częstszego ubrania coraz się więcéj upowszechniają. Najpiękniejsze ze wszystkich są ciemno szafirowe, fijołkowe lub skabiozowe z takimże paletocikiem zamiast stanika, ogarnirowane wązko barankiem astrachanowym czarnym.

Suknie Gabrjele przyjęte ogólnie, tak na wizyty, jak na proszone obiady. Uważaliśmy taką aksamitną koloru granatowego, zupełnie gładką, spiętą na przodzie na rząd wielkich szmuklerskich guzików. Wielki kołnierz a raczéj pelerynka z koronki weneckiéj i takież wyłogi, odwinięte od rękawów dopełniały przybrania.

Suknie w pasy dotąd się utrzymują. Uważaliśmy piękną gabrjelę czarną jedwabną w białe atłasowe pasy, przybraną czarnym aksamitem i koronką kluni. Najwięcéj jednak widać materji gładkich: mora i atłas należą do najmodniejszych.

La revues des modes.

Suknie wełniane najwięcéj noszone nie tylko w domu lecz i na zwyczajne wizyty. Między innemi widzieliśmy jednę bardzo ładną z fijołkowéj wełnianéj popeliny. U dołu naszywane były kwadraty ukośne czyli pierożki, czarną aksamitką, nabijaną perłowemi guziczkami. Paletocik przystający do figury przybrany był odpowiednio, przepasany czarnym paskiem nabijanym również guzikami. Po bokach oznaczone były aksamitką, czworograniaste kieszenie.

Na okrywki, używane wyłącznie paletoty rozmaitego rodzaju. Najmodniejsze są krótkie aksamitne, okładane wązko futerkiem. Zowią je *Polkami.* Do wyjścia na ulicę przyjęto wełniane szafirowe lub fijołkowe ciemne, okładane czarnym barankiem.

Suknie ślubne jedwabne, obszywają puszkiem łabędzim. Zalecamy ten garnirunek, gdyż nadzwyczaj świeżo i ładnie wygląda.

Suknie mantynowe czarne, najwięcéj zawsze używane lub też z lekkiéj materji czarnéj w popielate, białe, fijołkowe lub szafirowe paski atłasowe. Robią je z gładkim stanikiem albo w formie Gabrjeli, przepasują niekiedy paskiem, od którego spadają na tył długie szarfy.

W miejscu kapeluszy *Empire* zaczynają się coraz częściéj pojawiać *Pamele* z podciętemi do samych uszów bokami. Jest to po prostu talerzyk położony na głowie wycięty cokolwiek nad czołem, bez żadnego karczka. Wątpiemy jednak żeby kapelusze te mogły się upowszechnić, gdyż nie są bynajmniéj

zgrabne i w ogólności nie przypadają do twarzy. Więcéj nam się podobają kapelusiki zwane *porcherons* które tylko co się pojawiły w Paryżu. Kapelusiki te mają rondko mocno wgięte nad czołem *à la Marie Stuart*. Główka u nich spadająca na tył, pokrywa dobrze uszy, warkocz tylko cokolwiek z pod niéj wygląda. Widzieliśmy taki kapelusz czarny aksamitny, obszyty w koło czarnemi lawowemi grelotkami, wpięta z boku różyczka stanowiła całą jego ozdobę. Inny taki kapelusik niebieski aksamitny, obszyty był białemi grelotkami z sieczki; zdobiły go dwie białe róże, jedna wpięta z wierzchu druga pod spodem. Szarfy aksamitne dopełniały całości.

Na szarfy do kapeluszy zimowych używają wstążek z brzegiem pluszowym białym w czarne centki, które naśladują futerko gronostaja.

Pojawiło się w tych czasach piękne ubranie głowy do teatru lub na wieczór, zwane *Diademem królowéj Nawary*. Nad czołem przechodzi jakby czółko z aksamitu niebieskiego lub pąsowego, warkocz pokrywa jakby maleńka czapeczka z takiegoż samego aksamitu. Od téj czapeczki spada na ramiona woal illuzjowy biały, spięty na piersiach, rozetą z aksamitu, albo broszą.

Widzieliśmy także ubranie z czarnego aksamitu z czarnym woalem, przybrane tylko łańcuchem z czarnéj lawy. Młode mężatki noszą takąż samą czapeczkę z woalem, ale bez diademu aksamitnego po nad czołem.

Kołnierzyki większe, odniosły stanowcze zwycięstwo nad maleńkiemi. Najwięcéj widać ich ze śpiczastemi rożkami, spadającemi dosyć długo. Wielkie kołnierze gipiurowe lub z koronki weneckiéj z zębem w tyle i dwoma zębami po bokach ciągle jeszcze używane. Na aksamicie szczególniéj pięknie wyglądają.

Opis ryciny.

Figura 1. *Ubranie panny młodéj do kościoła.* Suknia biała *poult de soie* w formie Gabrjeli spięta na guziki białe od góry aż do ziemi. Od stanu po obu stronach, spadają cztery barby koronkowe zakończone u dołu puklami z wstążki. Rękawy obcisłe, na ramionach pukle ze wstążki. Kołnierzyk koronkowy, także mankietki wyłożone na rękawach. Diadem z kwiatu pomarańczowego, wielki woal z jedwabnego tiulu.

Figura 2. *Ubranie panny młodéj na wieczór.* Suknia biała atłasowa, na wierzch tunika gazowa przerabiana w złote pasy, obszyta frendzlą białą ze złotem. Tunika podpięta w koło w festony, na każdym podpięciu przytwierdzony biały ptaszek. Stanik atłasowy wycięty. Berta fałdowana z gazy w złote pasy; także rękawy spadające w formie zwanéj *Odalisque*. Na głowie welonik z gazy przerabianéj złotem przytwierdzony białym ptaszkiem do włosów.

Opis robót ręcznych w zeszłym numerze pomieszczonych, dopełniony został przez p. Annę Malik mieszkającą przy ulicy Elektoralnéj pod N. 675 w domu Perla. Osoby pragnące z zajęciem tem dokładniéj się obznajmić, lub otrzymać bliższe objaśnienie, albo zamówić stosowną robotę, raczą się zgłosić pod powyższym adresem osobiście, lub listownie.

KORRESPONDENCJA.

Panu Franciszkowi Obu. Koperta pocztowa do pism codziennych kosztuje półrocznie rs. 2.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)



Suknia z ciemno-orzechowej materij wycięta w zęby, z pod których wychodzi czarny jedwabny szlak, naszyty guziczkami, Zęby u sukni garnirowane gipiurą i aksamitką. Stanik w kształcie kaftanika z kamizelką orzechowej i czarnej materij. Głowa opasana zieloną aksamitką.



TYGODNIK MÓD
w Warszawie

Dodatek do Nr. 3 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 8 (20) Stycznia 1866 r.

GABRJELA

SZKIC OBYCZAJOWY

oryginalnie napisany.

(Dokończenie).

Prócz zawodów, nędzy i potoków łez niczego więcéj nie zaznałam... i upadłam w końcu tak nizko, że dla chwilowéj ulgi, dla jednéj sekundy spokoju opuściłam pierwszego męża, rzucając się w objęcia drugiego. Lecz i jego opuściłam po nieszczęśliwem kilkumiesięcznem pożyciu. W ubóstwie w nieopisanéj nędzy powróciłam do kraju. Z myślą odwetu, zemsty, stanęłam u twoich drzwi. A jednak kto wie, czybym się nawet nie była nawróciła i nie błagała cię kornie o przebaczenie, bo pragnęłam chwilowo uczynić rozbrat z nieszczęsną przeszłością; ale widmo jakieś prześladowało moje myśli. Spotkałam kobietę, która mi wyjawiła twoje pochodzenie, i nowa szalona zawiść zagrała w piersi, i w szale tym postanowiłam zniweczyć twoje szczęście! O... i ty oddajesz mi jeszcze twoje serce! Patrz... wszystkie ciosy, nieszczęścia, zawody i próby nie zdołały skruszyć mego zlodowaciałego serca, lecz ty je przełamałaś potęgą anielskiéj dobroci. Dziś, po raz pierwszy uczuwam dopiero, jakim jest właściwie cel życia kobiety i dreszcz mnie przejmuje, kiedy spojrzę po za siebie! Nie — ty mi przebaczyć nie możesz— nie powinnaś! Nienawidź mnie, wzgardź, odepchnij mnie od siebie — unikaj, jak złe unika dobrego — o, tu — tu już nadmiar złego! dodała Emilja wskazując na serce.

— A jednak przebaczyłam ci Emiljo! zawołała z uniesieniem Gabrjela; przestań myśleć o przeszłości; nie pomnę już, czem mnie dotknęłaś—takie nieszczęście wytrąca broń każdemu!

Gabrjela zwróciła się do Wereżyńskiego.

— Powiedz, drogi przyjacielu, cóż mam czynić dla siostry? podaj mi środki — sposoby!

— Obmyśliłem już odpowiednie środki, sądzę że się uda. Najstósowniejszym, zresztą jedynym nateraz środkiem byłby np. ten: ażeby pani Emilja wyjechała na niejaki czas do Włoch, a ja będę się starał tymczasem unicestnić zamiar londyńskiego trybunału upominającego się o wydanie pani Emilji; — i cóż pan na to? zapytał Wereżyński stojącego obok urzędnika.

— Byłby to może jedyny sposób zapobieżenia dalszym wynikłościom, odpowiedział tenże.

Emilja powstała, nad podziw spokojna, podała rękę Gabrjeli — i w jednéj chwili znalazły się obiedwie po raz pierwszy w objęciach.

— Gabrjelo — żegnaj! Dziś jeszcze opuszczę to ustronie, może na zawsze! odezwała się Emilja i ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi. Gabrjelo, jeżeli wolno grzesznicy modlić się za anioła, o to i ja pomodlę się o błogosławieństwo dla ciebie! Puść mnie! inaczéj już być nie może! Przyszłością moją żal i pokuta — tyś mi ją wskazała — tyś mi roztworzyła cudowną siłą twéj duszy nowe przestrzenie cnoty, naprawy i nadziei. Przyszłość twoja jest drogą szczęścia i spokoju! O, i ty Tereso przebacz mi w ostatniéj godzinie mego pobytu pod ojcowskim dachem, przebacz mi wszystko złe jakie ci wyrządziłam! Ale i ty także, szlachetny opiekunie Gabrjeli, i ty mi przebaczysz — wiem o tem, boś szlachetny i godny! Grzegorzu, ty wierna, uczciwa duszo, przyjacielu mego ojca i ty mi podaj rękę — i ty znajdziesz łzę dla mnie! Przebaczcie mi wszyscy — żegnajcie — i poświęćcie cichą łzę nieszczęśliwéj, rozstającéj się z wami może na zawsze!

Gabrjela rzuciła się powtórnie w objęcia Emilji. Grzegórz wzruszony do głębi, rękę jéj ucałował. Teresa i Wereżyński podali ręce na znak pojednania.

W kilka minut potem czterokonna kareta uniosła pędem strzały nieszczęśliwą pokutnicę.

* * *

Emilja nie miała już powrócić do ojcowskiego domu.

W kilka miesięcy po tem zdarzeniu otrzymała Gabrjela od przełożonéj jednego z klasztorów w *** doniesienie że Emilja Zahorska zakończyła życie po kilkunastotygodniowych cierpieniach czarnéj melancholji.

* * *

Dziwnem więc zrządzeniem, Gabrjela Orzęcka została powtórnie uniwersalną spadkobierczynią dóbr po swym dobroczyńcy, Stanisławie Zahorskim.

August Jeske.

KONIEC.

LILJA I BŁEKOT

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

Oj, nie wszystko próżne mary,
Co się człeku marzy.

Teofil Lenartowicz.

I.

Pod miasteczkiem X., na zielonéj równinie, bieleje zdala ładne zabudowanie folwarczne i zajazd z napisem: *Hotel pod kotwicą.*

Dom wielki, piętrowy, z pawilonami otacza ogród rozległy, bogaty w piękne drzewa, kwiaty i trawniki—wysokim opasany murem. Krata żelazna stanowiąca furtkę, zawsze jest zamkniętą. Potrzeba zadzwonić i wtedy niebawem po czysto umiecionym, żwirowym chodniku, nadejdzie barczysty, silnéj budowy odźwierny, w liberji brązowéj z niebieskim kołnierzem, i furtkę otwiera.

Jakaś niby smętność w koło zalega na wszystkiem. Czyliż to nie winą tego wysokiego muru? Bo już eśmy dziś za nadto nawykli do ulepszonego smaku angielskich ogrodów, i duszno nam i posępno wśród takich zapor klasztornych a racz éj więziennych niby.

Cisza panuje w około. Ale są chwile, gdzie ją przerywa, to śmiech głośniejszy a dziki — przykry zawrzask — a nawet i krzyki straszne, przeciągłe.

Pusto bywa wśród tych klombów kwietnych i po tych chodnikach cienistych — ale w pewnych godzinach zobaczysz tam fantastycznie strojne panie, i panów dziwnego wejrzenia, przybierających miny i pozy dziwaczne.

Tem pięknem ustroniem, ale smętnem i zostającem jakoby pod pewnym złowrogim urokiem, jest: *dom obłąkanych Dra N. X.*

Dnia jednego zatrzymał się przy kracie, idąc od *Hotelu pod kotwicą*, młody, przystojny mężczyzna: wysoki, kształtny, z niedużym, ciemno-płowym wąsikiem przy świeżéj barwie lica — i szybko za drót pociągnął: nagła wibracja dzwonka rozgłos poniosła w około.

Odźwierny wymierzonym przyspieszył krokiem.

— Czy zastałem doktora Słomnickiego? zapytał przybyły.

— Tak, panie.

— Proszę mi wskazać jego mieszkanie.

Odźwierny poprowadził go do jednego z pawilonów i wskazał drzwi numerowane.

— Edwardzie! — zawołał w téjże chwili wybiegający z nich młody mężczyzna, przyjemnego wejrzenia — zaledwo oczom dowierzam swoim!

— Kochany Ludwiku!

Uścisnęli się przyjaciele. Poczem doktór gościa wprowadził do ładnego, zazdrostkami zacienionego pokoju.

— Siadaj i powiedz, zkąd ciebie bogowie prowadzą?

— Powróciłem niedawno z podróży. Bawiłem u brata, jadę do stryja i zboczyłem umyślnie, by ciebie odwiedzić.

— Bóg ci zapłać poczciwcze! A cóż rozpoczniesz teraz?

— U stryja zabawię kilka miesięcy i będę upatrywał, by korzystnie jaki ziemski nabyć majątek. Brat z ojcowizny całkiem mnie spłacił, i dziś jestem sobie *libre baron.* A pragnę co rychléj na własnym żapracować zagonie. Cóż ty poczniesz, Ludwiku?

— Osiedlę się gdziekolwiek, a mam miejsc parę napiętych.

— Długo tu jeszcze zabawisz?

— Może do jesieni. Pobyt mój tutaj obfitym jest w spostrzeżenia i dużo pouczam się praktycznie. Nadto uczony mój kolega, doktór N. X. serdecznie poczciwym jest człowiekiem.

— Ale wiesz, że tu jakoś ciężko jest niby, taka cisza i smutno.

— Gorzéj to, gdy odezwą się dzikie piski i wrzaski.

— Macie dużo takich nieszczęśliwych?

— Trzydziestu kilku. Pomiędzy tymi trzech szalonych, kilku melancholików, kilku szczęśliwych warjatów.

— Szczęśliwych?!

— Tak. Jednemu zdaje się, że jest markizem *de Savigny*, zasłanym tutaj przez intrygę ministra *Dubois.*

— Z czasów regencji?!

— Z czasów regencji—zaśmiał się doktór — czytał tam znać jakieś pamiętniki i wymarzył sobie, że jest owym bohaterem. Stroi się, jest niby to figurą wielką, osłania się tajemniczością, i jest szczęśliwym. Salonowiec, grzeczny zawsze i dla wszystkich łagodny i posłuszny, to i nie spotyka go kara. Drugim takim jest mniemany wielki poeta, sławą i laurami okryty. Lecz wyobraź sobie, jaki tu niedawno mieliśmy wypadek. Pan Józef Y. przybył z bratem swoim Karolem, cierpiącym obłąkanie, by go oddać pod opiekę doktora N. X. Stanęli w hotelu, Józef był czemś zajęty, a Karol wymknął się tymczasem i przybiegł do zakładu.

— Jakto! Więc wiedział o tym zakładzie?

— Wiedział. Posłyszał znać, domyślił się, że go do domu warjatów odwożą. Odźwierny go wpuszcza, aż on żąda widzieć się z dyrektorem. Doktór N. X. go przyjmuje.

— „Jestem Józef G.“ — przedstawia się warjat— „i przywiozłem tu brata mojego, który cierpi pomięszanie zmysłów. Przyprowadzę go tu zaraz, a proszę, by od razu pod ścisły był wzięty dozór.“

— Czy być może?! — zaśmiał się Edward.

— Nic nie przesadzam.

— Jakaż przebiegłość!

— To zdarza się często.

— Ale cóż daléj.

— Przyszli następnie obadwaj. Warjat dał znak doktorowi poza plecami brata. A gdy tenże pana Józefa witał, za rękę ujął i siedzieć prosił, drugi cofnął się do sieni, wybiegł z zakładu, wsiadł do pojazdu i odjechał.

— To słowne! Więc brata zdrowego w miejscu swojem zostawił?

— W pierwszéj chwili doktór N. X. miał p. Józe-

ła rzeczywiście za warjata. Ale gdy rzecz wyjaśniła się, pogoniliśmy za tamtym.

— I dałże się schwycić i skłonić do powrotu?

— Udawaliśmy, że go mamy za zdrowego, i powiedzieliśmy: że brat w zakładzie nagle zachorował i jego obecności wymaga koniecznie. Opierał się z początku, lecz potrafiliśmy go nakłonić. Jeden z nas usiadł obok niego, drugi naprzeciw, woźnica zawrócił i konie zaciął. Zażyliśmy go z mańki, wprosili do pokoju i zamknęli ale zachował się dosyć spokojnie.

— A jakżeż nim teraz?

— Warjat zawsze! Czasem więcéj, a czasem mniéj. Wielkie to niby interesa prowadzi, i rozległe miewa korespondencje.

— I macież nadzieję, że się wyleczy?

— Żadnéj! — doktór Słomnicki smutno ramionami ruszył.

— Macież tu i kobiety?

— Jest ich pięć. Zechcesz, to przejdźmy się po ogrodzie: jest to godzina, w któréj łagodniejszych wypuszczają.

— Owszem, chodźmy.

— Ciężko chorych nie pokażę ci. Czynią nadzwyczaj przykre wrażenie, a widzieć ich dla ciekawości jedynie, nie uważam za rzecz potrzebną.

Wyszli do ogrodu. W pierwszéj zaraz altance siedziała kobieta lat średnich, miłego oblicza, lecz smutnego wejrzenia, w ciemnéj sukni i skromnym białym czepeczku. Przed nią leżały papiery, stał kałamarz, i coś tam z zajęciem pisała.

— Ta biedaczka po śmierci męża i dwojga dzieci, pomięszania zmysłów dostała. Pisuje ciągle listy do różnych osób, i nie uwierzyłbyś, jak piękne zdania i ustępy te listy zawierają nieraz Jest to jedna z najłagodniejszych chorych. Ale biedna nie wyleczy się nigdy.

Z bocznego chodnika zbliżał się mężczyzna we fraku seledynowym, oszytym galonem, kamizelce różowéj długiéj, z wielkiemi żabotami z białego papieru, podobnéż miał mankiety u ręki, i kokardy różowe. Na głowie trójgraniasty kapelusz z czarnéj tektury, ze złotą frendzlą. Trzymał bukiet kwiatów w ręku, i kroczył poważnie, wystawiając nogi w białych pończochach, i trzewikach na czerwonych korkach ze sprzączkami stalowemi — a na wszystkie oglądał się strony.

— To jest *markiz* — poszepnął doktór. *Bon jour monsieur le marquis*', — skłonił się warjatowi.

— *Bon jour! bon jour!* — odkłonił się markiz z uśmiechem wielkiego pana. Powąchał bukiecik i podążał ku kobiecie nadchodzącéj właśnie; dość młodéj jeszcze, dość ładnéj, przystrojonéj fantastycznie we wszelkie kolory — we wstęgi, pióra strusie i pawie, w kwiaty i koronki. Markiz pokłonił się z gracją i podał jéj bukiet. Strojnisia przyjęła go z mizdrzeniem, a potem szli daléj pospołu. Dama strzepywała szerokie u rękawów koronki i z bukietem igrała, kawaler szedł bokiem i raz po raz obcasem o obcas uderzał.

— Ta biedaczka żyła kiedyś w świecie — mówił doktór — i zawsze stroje lubiła. Markiz jéj dworuje i swój swego znalazł.

W ustronnéj ulicy przechadzał się mężczyzna któryy, gdy ich zobaczył, szybko skręcił w zarośle.

— To jest poeta — opowiadał doktór — ale nie ów szczęśliwy i sławą okryty, lecz niezrozumiany, zapoznany, nieoceniony według zdolności swoich, których mu krytycy zazdroszczą. Biedak trapi się i ucieka od ludzi. Jest wszelako nadzieja, że wyleczonym zostanie. Czy Borzymski już siedzi przy swoim klombie? — zapytał doktór jednego ze służby dozorującéj, który właśnie nadchodził.

— Siedzi już.

— Chodź, pokażę ci ciekawy egzemplarz — zwrócił się doktór do Edwarda — ten biedak, Borzymski jest już od lat dwunastu w zakładzie, a dawniéj był już gdzieindziéj lat ośm.

Przy trawniku, pod akacją, siedział mężczyzna lat średnich, czarno ubrany: wysoki, chudy, śniady; rysy twarzy miał regularne a piękne nawet; oko wielkie, ciemne, wyraz nadzwyczaj poważny i ponury; włos ciemny, nieco już szpakowaty, krótko zebrany. Przy słomkowym kapeluszu czarna powiewała wstążka. Na trawniku, tuż przed nim, był okrąg ziemi świeżo poruszony, wypielony, a na środku tegoż rosła lilja i bujnie rozłożony blekot. Obok stała skrzyneczka z farbami. Kwiat blekotu był świeżo w różne pomalowany kolory. Warjat trzymał w ręku blaszaną konewkę, znać co tylko te dwie rośliny był podlał.

Na widok doktora Słomnickiego uchylił nieco kapelusza i skłonił głową.

— Blekot zawsze górą! wymówił, smutno pokiwując — to przekleństwo jest ziemi. Blekot się rozrasta, a biednéj lilijce wszystkie odejmuje soki... Złe wszędzie i zawsze przewagę bierze. Codziennie siedzę i ślęczę, i modlę się o dolę lilijki, a nadaremnie!.... Blekot bujniej rozrasta się coraz. Ot, ile ma kwiatów, liści łodyg! I pomalowałem te kwiaty, bo i tamta była farbowana, i łudziła swoim urokiem a *fałszem!*... A lilijka blada, wątła, smutna! Blekot zagarnął jéj wszystko... i odebrał jéj życie! Chwast górą! Złego niepodobna wyplenić. To klątwa jest ziemi!... I czyż tak zawsze będzie?! złożył dłonie i żałośnie kręcił głową. Lilija jest czystością i wonią! zaczął znowu — Lilja jest kwiatem Boga rodzicy, jéj godłem! Lilija zdobi rączkę dziecięcia Chrystusa, jako z rąk przeczystego męczeństwa dla zbawienia ludzi! Lilja jest lekarstwem balsamem... a blekot trucizną, i jednakżeż przerósł lilijkę! Tak to na ziemi spotęgowaną bywa siła złego, w obec prawdy i cnoty, poświęcenia i miłości! Fałsz i kłam! Podstęp i zdrada! Świat obrzucił się kałem i jadem, bez sromu! bez sumienia! bez sumienia! Czy słyszycie? Ale, nie, wy tego słyszeć nie możecie, bo nie umiecie słuchać! Ja słyszę, bo słucham serca uchem i uchem duszy, słyszę ciche lilji żale! jéj modlitewne westchnienia! Hymn serca boleści! O jakież to dźwięki! Jakaż to melodja! Wy zagrzeźli w prochu ziemskim tego nie możecie posłyszeć! I słyszę, słyszę szyderczą wesołość blekotu! jadowite sykanie! Truciznę! Truciznę duszy! i załamał dłonie. Wszędzie, ach! wszędzie i zawsze, słyszę tłumioną skargę, cierpliwości westchnienie bladéj lilijki z pochyloną główką, i płaczę nad nią, i żal żarem pada mi do duszy... i oczy wypala, bo to są sępy i czarne kruki, i szkliste żmije, padalce! — ukrył twarz w dłoniach i jęknął rozdzierającą boleścią.

— Chodźmy! poszepnął doktór zostawmy go samego. Niechaj sobie raczéj maluje daléj dzwonki blekotu, i chwasty w koło lilijki wyrywa, to go uspokoi nieco — i uprowadził przyjaciela.

— Ten biedny warjat, jest poruszającym do głębi! wymówił Edward. Cóż go do tego stanu przywiodło? Co znaczy ten blekot i ta lilijka?

— Kochał skromną i ładną panienkę, a potem zakochał się w pięknéj, błyskotnéj a zdradliwéj kokietce, i oszałomiony tamtą, pierwszą dla téj drugiéj poświęcił. Pierwsza cnotliwa i dobra, kochała go prawdziwie. Druga porzuciła biedaka!

— Więc ztąd *lilja* i *blekot*! I on już lat dwanaście jest tutaj?

— Tak, lat dwanaście przeszło!

— I zawszeż blekot i lilję choduje? Od lat dwudziestu!

— Zawsze. Inaczej-by szalał. To zajęcie jest jedynem jego ukojeniem.

— A jakżeż w zimie?

— Ma wazon z ziemią ogrodową w swoim pokoju, siedzi nad nim, wygląda wyrostu lilji i blekotu, i maluje jednę i drugi na rozlicznych ćwiartkach papieru. Z wiosną zasiada tutaj, i ogrodnik najpierwszy o tym klombie pamiętać winien.

— Biedny, nieszczęśliwy!

— Zawsze jest smutny, posępny bardzo, i o jednym tylko zawsze mówi przedmiocie.

— Uczynił na mnie, wyznać muszę, wielkie wrażenie, bo jest *prawda* w tem co mówi.

— Porzućmy teraz tych biedaków, dosyć ci już zapewne tego, coś widział i słyszał, a chodźmy do doktora N. X. Poznasz zacnego męża, prawdziwego przyjaciela ludzkości.

W milczeniu szli daléj, gdy z poza klombu młody ukazał się człowiek, ładny, wypieszczony, z przesadną elegancją ubrany. Włosy miał długie na cztery rozrzucone wiatry. Trzymał w ręku papier, a lica jego rozpromieniał wyraz szczęścia.

— Z Anglji! wymówił, pokazując doktorowi papier — żądają odemnie zezwolenia, by poezje moje przetłomaczyć mogli. To od lorda *Southerland*, a dopisał się i *Dickens*. Wczoraj odebrałem takież wezwanie od księcia Napoleona. Jutro *Andersen* do mnie napisze...

„Kwieciem *strzenie* świata zasłane,
A w koło woń i śpiew!
Gwiazdy po błękitach nizane,
W *stworzu* żar i śpiew;
Jam pieśniarz zesłany....

Skręcił poza klomb jaźminu i jarząbków, i przez chwilę jeszcze dolatywały ich jego improwizacji urywki.

— Zdrowe zmysły pewnieby tyle szczęścia nie dały — wymówił Edward.

Towarzysz jego ramionami ruszył.

W tem, z pawilonu jednego, straszne, przenikające dochodziły ich krzyki.

— Cóż to? zawołał Edward i przystanął.

— Och, to najstraszniejszy z naszych szalonych! Chodź, chodź! — i doktór uprowadził go pospiesznie.

Straszne krzyki, pełne jęku dzikiego powtarzały się ciągle.

— Okropny to szaleniec — wymówił doktór— nie wypuszczają go nigdy. Ale męczarnie jego pewnie skończą się niezadługo: w tym stanie długo pożyć nie może.

— Któż to jest?

— Człowiek bogaty i w znaczeniu kiedyś w świecie. Opływał we wszystko, ale... jak wyrzekł wieszcz: „Nie stawało snu i cnoty!“

— Paliło go sumienie i chwili spokoju nie zaznał. Nie sypiał po nocach hałasował, budził wszystkich, wymyślał na służbę, tłukł okna, zwierciadła, druzgotał w napadzie szału wszystko, cokolwiek pochwycił, ranił sam siebie, aż wreszcie w gwałtowne popadł szaleństwo. Ciągle jakaś mara z wyrzutami go ściga i nieraz, skulony w ostatni kryje się zakątek; drży, oczy w słup stawają, piana osiada na ustach, i wyje straszliwie, wołając: „Sąd Boży pali!... Testament! Oddam!... Bierz!... Puszczaj!... Stoi!... Patrzy się!...“ Pada na ziemię, gryzie podłogę, własne palce. Są to okropności!

— Z kądże on jest?

— Przywieziono go z daleka.

Szli szybko daléj — lecz ciągle dolatywało ich wycie nieszczęśliwego, Zawrócili do głównego gmachu — i po kilku chwilach przedstawił Ludwik przyjaciela dyrektorowi zakładu, doktorowi N. X.

II.

Dzień Wrześniowy był śliczny — jak to u nas dni piękne, jesienne bywają: niosący pozłote owocom, a barwę drzewom, gieorginjom i astrom.

Pan Bojomirski, dziedzic Radoszczy, zapaliwszy cygaro, wyszedł do ogrodu, gdzie lubił każdéj przypatrywać się drzewinie, każdy podziwiać kwiatek— albo w pośród rozpiętych na ścianach cieplarni, z zarumienionych brzoskwiń i moreli, wybierać najżółtsze i najrumieńsze, by niemi małżonkę poczęstować swoją — jak to zwykł czynić już od lat dwudziestu.

Właśnie zdążał w tę owocową część ogrodu, gdy chód szybki za sobą posłyszał — obejrzał się i przystanął.

— Czyliż i ciebie nęcą brzoskwinie i morelki? zapytał z uśmiechem, i wskazał bogato tym owocem ubarwioną ścianę.

— Nie, drogi stryju — odrzekł Edward — przyszedłem z propozycją, zachęcony przez stryjenkę, byśmy na godzinkę pojechali do Trawnik, ile, że te panie w tych dniach na czas dłuższy wyjeżdżają, jak donosiła pani Żegocina.

— Dokądże jadą?

— Do pani Rościsłowskiéj.

— Tak... hm!... Czyliż żona moja chce dziś być w Trawnikach?

— Nie, to raczéj ja tylko — i młodzian z lekka pokraśniał.

— Aa! Rozumiem! spojrzał się stryjaszek figlarnie jakoś — ciebie raczéj nęci kwiatek powabny, a nie brzoskwinie i morele.

(d. c. n)